Paryzyna

Paryzyna

Oto godzina gdzie z pośród drzew cienia
Najprzewniejsze słowik tęże pienia
Gdzie tysiące zaklęć miłosney osnowy
Zdają cichemi rozpływać się słowy.
Głośniey zdroy płynie, wiatr miley szeleści
Dźwiękiem jak ucho samotne się pieści
Każdy kwiat lekko wonna skrapia rosa
Pierwszemi gwiazdy jakoś się Niebiosa
Wszystko ciemnieyszą przybiera osłonę
I błękit wody i drzewo zielone
A na lazurze to światło pod-mgliste
Tak miłe ciemne i tak ciemno-czyste
Co po skonaniu dnia jeszcze jaśnieje
Gdy księżyc błyszczy a zorza blednieje.

Ale nie zdroje spadające nęcą
Z złotych jey gmachów małżonkę książęcą
Nie na to nocnym powierza się cieniom
Aby gwiaździstym dziwić się sklepieniom

Do gajów Esta Paryzyna wchodzi
Ale nie kwiatów woń ją tam przywodzi
Słucha j czeka — nie słowiczych jęków
Choć równie słodkich oczekuje dźwięków.
Ktoś się w gęstwinę śmiałą wciska nogą
Lica jej bledną, serce bije trwogą
W tem ciche słowo wsuwa się miłośnie
Wraca rumieniec j pierś szczęściem rośnie
Chwila już tylko — jedna chwilka mała
Ujrzy kochanka — stało się, ujrzała.

J czemuż dla nich świat — ziemia — niebiosy
J wszyscy ludzie, wszystkie zmiany, losy
Martwi jak gdyby już byli umarłemi
Na wszystko w koło — nad niemi — pod niemi
Jak gdyby wszystko już znikło w tej chwili
J oni tylko wzajem w sobie żyli.
Ileż to życia w ich westchnieniach pała!
Ach, gdyby radość ta zwolnieć nie miała
Wkrótce by serca zniszczone nadmiarem

Serca ich własnym spłonęły pożarem.
Mogliż sen marzeń tak ognisty, luby,
Pomnieć na zbrodnię lub lękać się zguby?
Któżby w tej burzy, tej uczuć nawale
Hamował wrzące namiętności fale?
Któż wówczas myśli jak czas ten przelotny?
Przecież już uszedł j uszedł niezwrotny:
Tak się to człowiek ze snu szczęścia cuci
Wprzód nim się dowie że już mu nie wróci.

Smętnem się, rzewnem żegnają obliczem
Z minionej winy miejscem tajemniczem
Mają nadzieję — przyrzekli że wrócą
Przecież jak wiecznym rozdziałem się smucą
Ten długi uścisk — to częste westchnienie
To jakby wieczne dwojga ust spojenie
Wówczas gdy ~~[illegible]~~ pełnem zdziwiałem blask księżyca
~~A w oczach Nieba [illegible]~~ Z groźniących niebios na jej spada lica:

A każda gwiazda świadek jej niewiary
Zdaje się ~~[illegible]~~ ja ~~[illegible]~~ winić i przeszywać kary

Ta częstość westchnień — ten uścisk tak czuty
Silnie do miejsca zbrodni ich przykuty.
Lecz już czas nagli i rozstać się muszą
Z drżącą więc, ciężką rozchodzą się duszą
Skryty dreszcz trwogi krew ich lodem ścina
I pierwszy zbrodnią już karać zaczyna

Hugo na łoże samotne się schronił
Skąd tęskną myślą za kochanką gonił
I ona także swe niewierne skronie —
Na ufnem męża złożyła już łonie.
Lecz jakiż sen jej który tajemnica
Jakaż to burza uroczo barwi lica?
Cicho się sennem odzywa imieniem
Którego we dnie wyrzec by nie śmiała
Miłosnem męża przycisła ramieniem
Do serca, które — nie dla niego pała.

Zrywa się Azo uściśnieniem zbudzony
Boi go widok sennych marzeń żony
Jakiż się miłe tą pieszczotą budzi
Która w nim tyle dawnych wspomnień budzi
Jakże rozrzewnia go ta miłość tkliwa
Która się nawet i w snach jej odzywa.

Lekko do swego przytula ją łona
Sennym się słowom przysłuchuje w ciszy...
Lecz skąd ta nagła bladość, dreszcz Azona
Rzekłbyś że trąbę Archanielską słyszy.
Mniej ona strasznym grzmotem go przeniknie
Kiedy nad jego grobowcem zaryknie
I gdy na całą wierność zbudzonego
Przed Niebios, ziemi, wezwie go Sędziego!
Jeden dźwięk cichy sennego wyrazu
Całe mu serce rozszarpnął od razu
Jedno to imię świadczy zbyt dowodnie
O jego hańbie i małżonki zbrodnie.

Czyjeż to imię? — jak gdy groźne wały
Nagle w wzburzonym zagrzmią oceanie
I tak rozbitem uderzą o skały
Że gdy raz padnie, już nigdy nie wstanie
Taką to sromu i hańby nawałą
Imię to wstrząsło jego piersią całą.
Czyjeż to imię? — ach, krew się w nim ścina....
Imię Hugona, imię jego syna
Syna zwiedzionej młodych lat kochanki;
Zdrajcy, z niewiernej zrodzonego Bianki
Co się tak płocho dała wieść do zguby
Nigdy prawemi nie złączona śluby.

Chwyta za sztylet — na pół go dobywa....
I znowu zwolna w głębię pochwy zsuwa.
Niegodna życia! lecz czyjeż ręki
Te tak urocze nie rozbroją ~~[illegible]~~ wdzięki
Jakże ją zabić — jak zwolać w tej chwili
Kiedy się we śnie uśmiecha tak mile?

Nie budzi żony — ale tak w jej lice
Ostrzem piorunu gniewne wpił źrenice
Że gdyby nagle rozwarła powieki
Mrozemby śmierci ścięty się na wieki.
Światłem wiszącej lampy ojaśniona
Lśni się kroplistym potem skroń Arona
Kiedy w tem cichszy sen ujmuje żonę...
Nie wie nieszczęsna że jej dni zliczone!

I z rannem słońcem Aro śledzi, pyta
Lękła się, przecież wieść za wieścią chwyta
Aż wreszcie wszystko już widzi dowodnie
Przyszłość matki swojej i matronki zbrodnię.
Długie wspólnie przestępstwo Paryżyny
Chcąc przed Aronem oczyścić się z winy
Na nią zwalają zbrodnię, wstyd i karę.
Wszystko już, wszystko odkryte nareszcie
Jasne i zgodne wyznania niewieście
Pętną Arona uciskały wciąż.
Zaprzestał badań — dosyć już z tych wieści
Serce i ucho wypity boleści!

Nie ciérpiąc zwłoki. W radnych Panów gronie
Starców, rycerstwem, dworcem otoczony
Władzca jich berła i dziedzic Korony
Na starożytnym Estów zasiadł tronie.
Stoją przed sądem Hugo, Paryzyna:
Jakże jest piękna — jak oboje młodzi!
Hugo, — o Boże — ojciec że to syna
W takiéy postaci przed siebie przywodzi?
Odjąć mu oręż, ręce okuć w pęta
I sam swoy straszny wyrok mu ogłosi —
Hugo choć młody, lecz dusza niezgięta
Zbroi się w dumę, i nad los swoy wznosi.

—

Stoi i ona, niema, blada, drżąca
Stoi na straszny wyrok czekająca.
Nie taką była, gdy w świetności godowéy
Po lśniących salach, wdzięczną ócz wymową
Radości i uroczenie rozsypała wszędzie,
Gdy dumą było stawać w sług jéy rzędzie

Gdy każda piękności chce piękniejszą zostać
W słodkie jej głosu wnurzała się dźwięki
W jej chód, jej układ, jej wdzięczną postać
I w jej królewskie i godności i wdzięki.
Ach, gdyby wówczas jedną łzę zroniła
Krzywda jej, wszystkich serc by krzywdą była
Tysiąc rycerskich powstałoby mężów
Tysiąc błyszczących wzniosłoby się oręży,
A dzisiaj jaka w niej i drugich zmiana?
Możesz co karać — i będziesz słuchana?
Damy, rycerze, cały dwór dokoła
Spuszczają oczy — miłosną — marszczą czoła
Srożej się dumna na ich ustach wzgarda
I każda z twarzy tak zimna i twarda!
Ten [nawet który na błysk jej spojrzenia] ~~sam jej serca wybraniec tak drogi~~
[Gotów był zawsze do [illegible]] ~~Co niegdyś tron swój zniżał pod jej nogi~~ [kompszczenia]
Co gdyby więzy swe na chwilę zrzucił
Lub by sam poległ lub jej wolność wrócił
Ten Hugo nawet tak ~~luby~~ [drogi], kochany,
Stoi ciężkiemi obarczon kajdany
Nie patrzy na ~~te~~ [jej] łzy w oczach wezbrane
Bardziej dla niego, niźli dla niej lane

10

ach, wszakże jeszcze błękit żyłek drobnych
Krążył po śniegu tych powiek nadobnych
A które były tak miłej białości
Że się zdawały wzywać ust miłości.
Dzisiay palące, zżółkłe i zwiędniałe
Zdają się cisnąć nie osłaniać oczy
Których spojrzenie martwe i zwiałe
Coraz się bardziej tłumem łez ~~swych~~ tych mroczy.

Byłby i Hugo nad nią łzę uronił
Gdyby tak licznych świadków się nie chronił
Cały męczarnię w swojem zawarł łonie
Dumne, posępne w górę wzniósł skronie.
Umarłby z wstydu, gdyby swej katuszy
Przed okiem świata nie mógł ukryć w duszy
Na nią jednakże nie śmiał rzucić wzroku
Stała mu w myśli okropność wyroku
Zbrodnia – wstyd – miłość – pamięć dni tak świętych
Straszny gniew ojca – wzgarda serc szlachetnych
Ziemska – wszystka kara cięzkiej winy
A zwłaszcza, zwłaszcza przyszłość Parizyny!

Nie — nigdy jego niemogły źrenice
Spoyrzeć się na jey trupio-blade lice.
Płyknąłby z żalu y przeklął tę chwilę
Przez którą na nią ściągnął nieszczęść tyle!

Wczoray się jeszcze tak dro zacyna
Z chlubą patrzyłem na żonę y syna
Dziś z tak drogiego marzenia ochmony
Dziś jeszcze będę bez syna y żony.
Crekia mię ciężar dni pustych, samotnych,
Lecz niechay losy spełnią się zacięte
Któżby nie karał przestępstw tak sromotnych
Nie jam to zerwał te węzły tak święte
Stało się — Hugo, wyrok twoy wydany
Wszystko gotowe — kapłan przywołany
Poydziesz zapłatę zbrodni twey odebrać.
Nim pierwsze [w górne gwiazdy najaśniejszą] ~~gwiazdy zabłysną na niebie~~
Staray się [w niebie ~~światach~~ łaskę twą] ~~łzów u Niego~~ wyżebrać
Tam tylko możesz [sięgać ~~twą~~ nadzieją] ~~zyskać ją dla siebie~~
Gdyż na tey ziemi nigdzie się nie zmieści
Twoja sromota przy moyey boleści.

Żegnam cię — niechcę patrzyć na śmierć syna —
Lecz ty — ach gniew mi krew i usta ścina,
Ty której sercem sama płochość włada,
Kobieto czarną niewiarą splamiona,
Ty patrzeć będziesz jak ta głowa spadnie:
Nie ja — ty sama zabijasz Hugona.
Jeśli nie skonasz w takiej okropnej dobie
Cieszże się twem życiem, zostawiam je tobie.

Skończył, twarz zakrył — w każdej oto żyle
Z taką potęgą bije krew wzbrana
Jak gdyby z żył tych ciągle wypierana
Ciągle w zdwojonej powracała sile.
Zwolna nad okiem drżącą ciągnie rękę
Jak gdyby swoją chciał ukrywać mękę
Kiedy w tem Hugo dłoń okutą wznosi
Ojca o wolność przemówienia prosi
Ojciec choć milczy, lecz mówić nie wzbrania
Syn więc: — Nie bojaźń do tych słów mię skłania.

Widziałeś nieraz, jakem w polu chwały
Krwią twoich wrogów oblewał się cały,
I jaki ten oręż w każdey działał walce
Który mi twoi wydarli zuchwalce.
Dłoń ta w twey sprawie więcey krwi przelała
Niż twoy kat z mego wytoczy jey ciała.
Dałeś mi życie i odbierz je Panie
Żadnych ja dzięków nie składam ci za nie.
Dar ten był źródłem ciągłego cierpienia
Wszystkie mi krzywdy matki przypomina
Zdeptaną miłość i hańbę imienia
Smutne — okropne dziedzictwo jey syna
Lecz grób ją schłonął ~~żyw jest w grobie~~ — w którym jej ~~nie~~ niewolnie
Ten syn jey a twoy współzalotnik spocznie.
Wiecznie tam będą z swoich grobów świadczyły
Krwawe łzy matki, moja krew przelana
Czem tu dla ciebie wszelkie (wszystkie ~~[illegible]~~ były
I czułości ojca i miłości młodziana —
Skrzywdziłem ciebie — słuszna zemsta, kara...
Krzywda to tylko krzywdę odpłaciła

54
24
78

2–18

Ta dumy twojey powtórna ofiara
Mnie, jak wiesz, wprzody przeznaczona była.
Ledwieś ją ujrzał, uwielbił jey wdzięki
Juześ niegodnym uznał mnie jey ręki
J tak mię podłym wyszydziłeś rodem
Jak gdyby nie był zbrodni twey dowodem.
Nie mogłem wprawdzie zbyt nisko zrodzony
Do świetney Estów zasięgać korony
Kilka lat przecież, a ten syn nieprawy
W wieczney by wówczas zajaśniał ozdobie
J wszystkie laury, wszystkie wieńce sławy
Samemu tylko byłby winien sobie.
Mając moy oręż — przy tem serce, dłoni
Byłbym ją chętnie takiego się dobił
Jaki Krolewskiey tylu Estów skroni
Przez cały ciąg jich wieków nie ozdobił.
Nie zawsze rycerz rodem znamienity
Nay zaszczytnieyszych ostróg się dobijał
Dzielny moy rumak ostrzem bodźca bity
Jleż to wodzów j xiążąt przemijał

Gdym z rycerstwem uderzające krzyki
Z imieniem Esta upadał w wrogów szyki!
Nie bronię zbrodni — nie będę cię wzywał
Ażebyś dla mnie kilka chwil odrywał
Od tego czasu, co żyć w krótkiej dobie
Po mojem zimnym ma przepłynąć grobie.
Znikły ~~burzliwe~~ te krótkie wzruszenia mego szały
Jak trwać nie mogły tak też i nie trwały.
Podłym był ród moy, podłem imię moje,
Mogłeś je podnieść, wznieść oboje
Lecz byłbyś mniemał że poniżasz siebie:
Przecież twarz tego podłego Hugona
Nie jednym z twoich rysów zapożyczona
A dusza jego cała wzięta z ciebie.
Z ciebie to wziąłem ten umysł nieugięty —
Lecz skądżeś zadrżał?... tak jest, z ciebie wzięty.
Z ciebie to we mnie przeszła nieodmienna
Ta dzielność w boju, ta dusza płomienna
Nie samo tylko życie mi nadałeś
Całego siebie w moją istność wlałeś

Patrz, jakim zbrodnia owocem obdarza
Zbrodniaś mię spłodził i masz też zbrodniarza.
twoim płodem byłem ja i chętnie
Prawym ~~więc prawym krwi twej płodem byłem~~
jako ty wszystko podeptał sromotnie
Bo ~~równie jak ty wszystko zbezcześciłem~~. —
i mi tu nadał
Co zaś do życia, któreśm winien tobie
na to abym je tak wcześnie postradał
A które w krótkiej znowu mi wydrzesz dobie
Tyłem je cenił, ile ty sam twoje
Gdyś zwieńczon hełmem szedł się na boje
I gdyśmy jak dwa złączone pioruny
Grzmiące po trupach pustoszali bieguny.
[Nowiem jest wprawdzie już ta przewłoki cała
Przysłoni by nawet przeszłością się stała
Żałuję przecież żem nie legł owcześnie, nie poległ wcześniej
~~Byłbym rad przecie za twą poległ sprawę~~
mimo żeś mnie skrzywdził tak boleśnie
Gdyś ~~choć ma kiedy~~ żądałeś tej ~~krwawej~~ najboleśniej
wydałeś ~~Wziąłeś~~ kochankę a matkę zabiłeś
w matce-kochance — jeszcze i w tej dobie przy grobie
Dla serca mego zawsze ojcem byłeś.
Synowskich uczuć nie zgasiłem w sobie.
Wyrok twój dla mnie, acz srogi, straszliwy,
Choć z twych ust wyszedł, przecież sprawiedliwy.
Tak kończy życie jak było zaczęte
Zbrodnią nadane a hańbą zamknięte.

J syn i ojciec zgrzeszyli wzajemnie
Obu więc razem musisz karać we mnie.
Świat zbrodnię moją w wyższym stawia rzędzie,
Ale Bóg jeszcze rozsądzać nas będzie.

Skończył i ręce na piersiach zakłada
Stukną się dźwięczne kajdan jeh ogniwa
Ciężko na serca wodzów brzęk ten spada
Którym wstrząśnięty łańcuch się odzywa.
Kiedy w tem wszystkie spojrzenia porwała
Niezrównana piękność matronki Azona
Stoi z wybladłem liciem, oniemiała,
Żyjące źródło niedoli Hugona.
Oczy jej błędne, nieruchome, wryte
W ~~jeden punkt, jakby ostrzem~~ gromu wbite [wszystkie] [jeden] [jakby w jedno tylko miejsce]
Nigdy spuszczeniem powiek nie ocienia
Przeszklonej jasności strasznego spojrzenia
Dziwnie się białość roztacza szeroko
W koło ciemnego błękitu jej oka
Które tak zimne, martwe, osłupiałe,
Jakby w niem życie wymarło już całe

Niekiedy tylko z wezbraney źrenice
Taki wielka kropla spuszcza się na lice,
Że każdy z widzów dziwi się, zdumiewa,
Zkąd oko ludzkie taką łzę wylewa.
Chce się oderwać — boleść głos przydusza
W bezkształtnym jeszcze wydobyty dźwięku
Przecież w tym głuchym, nieforemnym jęku
Cała nieszczęsney wylata się dusza.
I znów milka — znów usta otwiera
A głos jey długim krzykiem się wydziera
I w tejże chwili tak runie o ziemię
Jak kolos z swojey podstawy zwalony
Nie jak żyjąca, lecz bezwładne brzemię
Marmur — grobowy posąg Lota żony!
Któżby w niey poznał tę udręczoną grzesznicę
Ten war miłości, tę żądz nawałnicę?
Ślepo się w zbrodni rzuciła bezdroże
A swey rozpaczy, wstydu znieść nie może
Lecz jeszcze, jeszcze żyje i oddycha
Ach czemuż nawet i śmierć ją odpycha.

Jakoś w niey ciemność — jak okropna zmiana —
Pękła nić myśli boleścią zerwana.
Jak ów łuk cięty deprzem rozwolniony
Zdala od celu, błędne strzały ciska
Tak i jey umysł męczarnią zbłąkany
Dzikiemi tylko marzeniami błyska.
Zmarła jey przeszłość — a przyszłość sczerniała
Takiem niekiedy światłem się rozświeci
Jak kiedy nocna zarzyśnie nawała
A błysk jey czarną pustynię przeleci.
Czuje, że dusza jey jak lodem ścięta
Że ciężar jakiegoś złoczyn jey boleni
Że się w tem jakiś wstyd i zbrodnia mieni
Że ktoś ma umrzeć, lecz kto — niepamięta.
Żyjeż — nie żyje? — istotnież to ziemi,
Ziemi tey stopy dotyka się swemi?
Niebaż to widzi? — ludzież to tym wzrokiem
Czy też szatani grożą jey dokoła?
Jey — co niedawno śmiejącem się okiem
Tysiączne w koło rozjaśniała czoła?

Wszystko w obłędney duszy powikłane
Zmącone czucia i myśli szarpane
Ktorym się dziwne bojaźni, nadzieje,
To się rozżarzonia, to znow dziko śmieje,
Radość jey w burzę, boleść w szał się zmienia,
Walczy z widmami straszneg[o] marzenia
Zda się, że jakiś czarny sen ją łudzi
Sen to szaleństwa – już się nie przebudzi.

Smętno = cięzkiemi z wieży płynące tony
Zwolna klasztorne kołyszą się dzwony.
Jakże boleśnie dźwięki ich serca rani –
Słuchaj! hymn śmierci spiewają kapłani
Spiew ten się zwykle za umarłym wznosi
Lub teź ginącym bliską śmierć jako głosi.
Hugo to, Hugo spełnia los swoy smutny,
Jemu to mszą, jemu spiż ta płyny.
Przykre odgłosy i widok okrutny...
Na gołey ziemi pred kapłanem klęczy.

Przed nim pień sterczy — a w koło żołnierze....
Kat obnażoną ręką topor bierze
Nad dzielnem, wszystkiem przemyślające cięciem
Lekkiem po ostrzu przeciąga dotknięciem.
Liczne się wiedzie w niemy tłum gromadzą
Patrzyć, jak syna z woli oyca zgładzą.

Miło wieczornym przyglądać się wdziękom
Gdy się do zayścia zbliża słońce letnie
Nad tym dniem krwawym wzniosło się tak świetnie
Jakby się tyla urągało mękom.
Zlewa się jasno światło zachodowe
Na potępioną winowaycy głowę
Gdy ten przy swoim klęczący kapłanie
Win się swoych zwierza, i żałując za nie,
W całey świętości skruszonego ducha
Tych słów tak błogich i wszechmocnych słucha,
Których dźwięk z boskiem przebaczeniem spływa
I wszystkie plamy duszy ludzkiey zmywa.

Żywem się światłem ta głowa promieni
I ten włos wdzięcznych i ciemnych pierścieni
Który tak nagą ostania mu szyję —
Lecz stokroć żywszy odstrzela się promień
Z topora Kata — ~~jakby~~ co jak groźny płomień
Strasznym, okropnym w koło blaskiem bije!
Gorzką jest, gorzką ta Krwawa godzina
Twarde się nawet serce trwogą ścina.
Słusznym jest wyrok i zbrodnia straszliwa
Wszystkich jednakże wstręt i dreszcz przeszywa.

Skończył już wszystkie modły i pokuty
Święty zwodziciel zdradney Paryzyny
Zliczone wszystkie rożańce i winy
Życie ostatniey dobiega minuty.
Zdjęty na rozkaz płaszcz na ziemi składa
Pod ostrzem nożyc gęsty włos opada
Wszystkie przy samey głowie mu ucięto.
Mite mu szaty i pamiątki zdjęto
Tey szarfy ~~nawet~~ drogą czystey dłonią
Do grobu z sobą zabierać mu bronią.

Wszystko już, wszystko na zawsze stracone....
Kładą nakoniec na oczy zasłonę
Ale nie — nigdy! — zniósł on obelg tyle
Lecz tey ostatniey krzywdy znieść nie umie,
Wszystkie uczucia stłumione na chwilę
W tey obrażoney zbudziły się dumie..
Jemuż to będzie, jemu kat ubliżał
Jegoż to męstwo tą zasłoną zniżał
Zadrżałże kiedy przed śmierci widokiem?
Nie — nie — zawoła, krwi, życia nie bronię
Jużeście moje skrępowali dłonie
Niechże przynaymniey z wolnem ~~głosem~~ okiem.
Uderz! zakrzyknie — i w tey samey chwili
Klęka i nad pniem dzielną głowę chyli
Uderz! — i ledwie tego dorzekł słowa
Spadł topór — ścięta potoczy się głowa
Krwią buchającą kadłub na wznak runął
I z każdey żyły silny deszcz krwi lunął
Usta chwilowym bólem się skrzywiły
Zadrgnęły oczy — i już wiecznie wryły.

Umarł jak umrzeć występnemu trzeba
Ni się wynosić, ni też trwogą podlić:
Wyznał swą zbrodnię, korzył się i modlić
I nie rozpaczać o litości Nieba;
A gdy tak, święta chyliła go skrucha
I z ziemskich więzi już oczyścić ducha
Czemże dlań były w srodowey godziny
Straszny gniew ojca — miłość Paryzyny?
Żal — skargi — rozpacz — wszystko Bóg przemagał
Każdy go mijał, każdem słowem błagał
Prócz tych słów kilku, które z jego łona
Wydarta nagle dusza obrażona
A które były przed tym krwawym ciosem
Ostatnim jego pożegnania głosem.

Jak martwe trupy, tak bez tchu i głosu
Stały dokoła świadki jego losu,
Kiedy wtem nagle przerwał tłum ten liczny
Mroźnego dreszczu piorun elektryczny

Gdy na tej wiośnie i tak młode lata
~~Jakby grom jaki~~ Z szybkością błyskawicy spadał topór Kata.
Tysiące się drżących z piersi głosów wzięto
Nagle urwało, w głębi serc cofnęło.
Najsłabszy nawet wykrzyk przerażenia
Nie zakłócił ciszy strasznego milczenia,
Sam topór głuchym przerwał je odgłosem
Gdy się aż do pnia silnym wrąbnął ciosem.
[Cóż to był za krzyk — tak dziki, nieznośny,
Tak przeraźliwy — tak boleśnie głośny?
Takim to krzykiem, ryczy pierś matczyna
Gdy niespodziana śmierć jej wydrze syna
Takim to krzykiem, niebo, piekło wzrusza
W wieczystych ogniach męcząca się dusza.
Wszystkie się oczy zwróciły ze przestrachu
Ku górnym oknom Książęcego gmachu
~~Patrzą~~ Lecz ~~...~~ wszystko na raz w głuchej ~~smutnej~~ milczącej ciszy
Nikt nic nie widzi i nikt nic nie słyszy.
Krzyk ten okropny był to krzyk niewieści
Wyraz tak strasznej, nad ludzkiej boleści
Że każdy w Niebo ~~wzrok błagalny~~ Rowne dłonie wznosił
O śmierć nieszczęsnej jak o łaskę prosił

Nigdzie y nigdzie od owey godziny
Już nie uyrzano znikłey Paryzyny,
Nigdy y nigdy wspominaną nie była
Jak gdyby nigdy na swiecie nie żyła.
Jakby słów strachu, przekleństwa lub zhańbienia,
Tak się lękano dźwięku jey jmienia.
Wieczne dla syna y dla żony zdradney
Usta Azona stały się niememi;
Nie mieli grobów ni pamiątki żadney
W niepoświęconey złożono jich ziemi.
Taki przynaymniey był udział Hugona,
Skryty los bowiem małżonki Azona
Tak był przed każdym tajony człowiekiem
Jak proch grobowcem przywalony wiekiem.
Poszłaż w klasztorne schronić się ukrycie
Nieba przez twarde dobijać się życie
Przez lata cierpień, przez modły y posty
J [illegible] y pokutne chłosty?
Sztyletże skarał zbrodnię jey niewiary
Czy też zatrutey smierć wypiła czary?

Czy też Bóg w Swojej litości uradził
Aby choć jeden dwóch kochanków zgładził,
By uderzając wspólnika jej winy,
Uderzył razem w serce Parizyny,
I tak, gwałtownem rozdarciem jej duszy
Od długiej życia uwolnił katuszy.
Nikt tego nie wie, nikt wiedzieć nie będzie,
Zwodneby tylko łudziły go wieści:
Lecz na cóż w płonnym gubić się obłędzie?
Życie zaczęła, skończyła w boleści.

I Azo inną żonę wybrał sobie
I znowu hoże syny mu wzrastały
Lecz żaden niebył tak miły, tak śmiały
Jak ten co zdawna w swoim więdniał grobie.
Zimnem on wzrost jak przemieszał i spoyrzeniem
Lub też z tłumionem patrzył się westchnieniem;
Lecz nigdy łzą mu nie błysła źrzenica
Uśmiech chmurnego nie rozjaśnił lica
Czoło mu piękne, wzniosłe i szerokie
Czarna myśl [illegible] wewnętrznym ~~[illegible]~~ potrząsała ~~[illegible]~~ bojem

W brurdy przedwczesne, ciemne y głębokie
Gorącym cierpień wyorane krojem,
Zaroste blizny rozkrwawioney duszy
Skutki zbyt długiey y cięzkiey katuszy.
[Żal – boleść – radość – wszystko w nim zamarło
Długie mu tylko – cięzkie dni zostały,
Oko co nigdy snem się nie zawarło
Martwość na wszelkie wzgardy y pochwały,
Serce, które się samo siebie bało.
Zmilczeć nie mogło – ustąpić nie chciało,
J kiedy postać przybrało spokoyną
Naygłębszą myśli, umie wrzało woyną.

Naygrubsze nawet y naytwardsze lody
Powierzchnią tylko każdey zetną wody
Żywy nurt ciągle spodem pruje toże
Płynie, y nigdy zastygnąć nie może.
Twardego harta był umysł Arona
Nie mógł on nigdy z swego wydrzeć łona
Dręczącey myśli wrosłey zbyt głęboko
Próżno, ach próżno nasza tłumi pycha
Łzę, co się silnie w nasze ciśnie oko

Rosa ta serca nigdy nie wysycha
Każda łza, którey oko nie wyroni
W głąb swego źrzódła cofa się y chroni
Ni tam jey pierwszey czystości nie zmaza
J choćiaż nigdy na jaw niedobyta,
Niewypłakana, przecież żywa, wrząca,
Tem dotkliwsza nawet im bardziey ukryta!
Gęsto[3] on[2] musiał[1] ~~[illegible]~~ w ~~swojem~~ on ~~swem~~
~~Zbyt często musiał w swojem~~ tłumić łonie
Żal się budzący po synu y żonie
Nie mógł ten krwawy dwóch ofiar morderca
Zapełnić czczości ~~pustego~~ już serca,
Żadney nadziei ~~złączenia~~ spotkania się z temi
Co już duszami złączyli się swemi;
A choćiaż widział tak jasno, dowodnie,
Że słuszną karą życia jch pozbawił
Że własne na nich ściągnęły ją zbrodnie
Przecież jad ciągły jego starość trawił.
Tak gdy rozstrojone żelaza wrycie
Drzewo z schorzałych gałęzi oczyści
Drzewo to w nowe wysila się życie
J majem bujnych ozielenia liści

Lecz kiedy nagły piorun w nie ugodzi
J ogień żywe strawi mu ramiona
Pień pozostały usycha i kona
J już żadnego listka nie urodzi.

36

II

15
1

90
15

240
32

16 | 272 | 17
16
112
112

60
160

366